Nr. 30. Sobota dnia 26-go lipca 1913.

GOŚĆ ŚWIĄTECZNY.

Bezpłatny dodatek.

Na niedzielę jedenastą po Zielonych Świątkach.

LEKCYA

z pierwszego listu św. Pawła do Koryntyan, rozdział XV, wiersz 1—10.

Bracia! oznajmuję wam Ewangelię, którą wam opowiedziałem, którąście też przyjęli i w której stoicie. Przez którą też zbawienia dostępujecie; jeśli pamiętacie, jakim obyczajem przepowiedziałem wam, chybabyście próżno uwierzyli. Bo najprzód podałem wam, com też wziął, iż Chrystus umarł za grzechy nasze podług pisma: a iż pogrzebiony jest, iż też powstał z martwych trzeciego dnia według pisma. A iż widziany jest od Cephy, a potem od jedenastu. Potem widziany był od więcej niż od pięciu set braci wspołem, z których wielu ich trwa aż dotąd, a niektórzy zasnęli. Potem był widziany od Jakóba, potem od wszystkich Apostołów, a na koniec po wszystkich był widziany i odemnie jakoby od poronionego płodu. Bom ja jest najmniejszy między Apostoły, który nie jestem godzien, aby mnie zwano Apostołem, albowiem prześladowałem Kościół Boży. A z łaski Bożej jestem to, com jest, a łaska Jego we mnie daremną nie była.

EWANGELIA

u św. Marka, rozdział VII, wiersz 31—37.

Onego czasu wyszedłszy Jezus z granic Tyryjskich, przyszedł przez Sydon do morza Galilejskiego, przez pośrodek granic Dekapolskich. I przywiedli Mu głuchego i niemego, a prosili Go, aby nań rękę włożył. A odwiódłszy go na stronę od rzeszy, wpuścił palce w uszy jego: a splunąwszy, dotknął języka jego. A wejrzawszy w niebo, westchnął, i rzekł mu: Effeta, to jest, otwórz się. I wnet się otworzyły uszy jego, i rozwiązała się związka języka jego, i wymawiał dobrze. I przykazał im, aby nikomu nie powiadali. Ale, im On więcej im zakazywał, tem więcej rozsławiali, i tem bardziej się dziwowali, mówiąc: Dobrze wszystko uczynił, i głuche uczynił, że słyszą, i nieme, że mówią.

NAUKA.

O głuchych, o niemych na duszy.

„I przywiedli mu głuchego i niemego i prosili Go, aby nań rękę włożył".

Głuchym być, niemym być, straszne to kalectwo. Nie słyszeć nigdy śpiewu skowronka, pieśni nabożnych nigdy nie słyszeć, ni głosu organu, ciężkie to kalectwo. Nie przemówić nigdy, tego słodkiego słowa: mamo, tato, nigdy nie powiedzieć, jakież to okropne kalectwo.

Gdyby ci za pokutę zadano nie wymówić i słowa dzień jeden, byłby to dzień długi bardzo dla ciebie i bardzo nieznośny. A niememu całe życie takie nieznośne. Niechbyś słuch stracił na jeden tydzień, przykrzyłbyś sobie nie mało, żaliłbyś się przed każdym, może i na Boga narzekał. Świat cały wydałby ci się grobem naonczas. A głuchemu zawsze i zawsze głucho, jak w grobie. Oj, kto głuchy, kto niemy, biedny to człowiek, nieszczęśliwy bardzo.

O wiele jednak ten nieszczęśliwszy, kto głuchy, kto niemy na duszy. A głuchych na duszy było już niemało, są tacy i dzisiaj. Długi ich szereg pierwsi już rodzice rozpoczynają. Powiada im Bóg i rozkazuje: *„Z każdego drzewa rajskiego jedz, ale z drzewa wiadomości dobrego i złego nie jedz, bo którego dnia będziesz jadł z niego, śmiercią umrzesz"* (Gen. 2, 16, 17). Czy wykonali oni ten rozkaz? Ewa najpierw, a potem i Adam jedli z tego drzewa. Czemuż to? bo dusza ich głuchą była na to rozkazanie Boże. Ta ich głuchota wszelako jakże się ciężko na nich pomściła, mści się jeszcze i na nas.

Tak samo i Kain głuchym był zupełnie na duszy. Bardzo on rozgniewał się i spadł nawet na obliczu swojem, że na ofiarę Abla Bóg wejrzał, na jego zaś nie wejrzał. Postanowił też sobie zabić brata swego. Wtedy to przestrzega go Bóg i mówi: *„Czemuś się rozgniewał i czemu spadła twarz twoja? Azali, jeśli dobrze czynić będziesz, nie odniesiesz* (za dobre nagrody)? *a jeśli źle, natychmiast we drzwiach grzech twój będzie* (zaraz karę odniesiesz). *Lecz pod tobą będzie pożądliwość jego, a ty nad nią panować będziesz"* (Gen. 4, 5, 7). Wyrzuć myśli złe z serca swojego, mówi Bóg do Kaina, zapanuj nad tym grzechem, co się rodzi w twej duszy. Kain powstał jednak na Abla, brata swego, i zabił go. Czemuż on to uczynił? bo głuchym był na duszy swojej, nie usłuchał więc wołania Bożego.

Ale dzieje to stare, zaglądnijmy do nowszych. — Oto Judasz, apostół, przed nami. Jego to chciwość pieniędzy tak opanowała, że sobie postanowił sprzedać Mistrza swego. Jakoż i sprzedał Go za 30 srebrników. I wtedy jeszcze nie odwrócił się od niego Pan Jezus, chciał jeszcze duszę jego i wtedy ratować, więc mówi przy ostatniej Wieczerzy: *„Syn ci człowieczy idzie, jako napisano, ale biada onemu człowiekowi, przez którego Syn człowieczy będzie wydan; dobrzeby mu było, aby się był nie narodził on człowiek"* (Mat. 26, 24). Judasz to słyszy i dobrze wie, że słowa te do niego się odnoszą. Cóż z tego jednak, kiedy i jego duszę ogłuszyła chciwość. Na drugi dzień już on wisiał na drzewie. Do tego doprowadziła go głuchota jego duchowa.

I dzisiaj głusi na duszy na głuchocie swej nie lepiej wychodzą. — W jednej wiosce żył sobie wcale zamożny gospodarz. Wybrano go wójtem, bo w całej gminie imię miał poczciwe. I z początku poczciwie on urząd swój sprawował, że mówiono powszechnie: chwała Bogu za takiego sumiennego wójta. Szczególniejszą zaś opieką otaczał on wdowy, sieroty, nie dał ich nikomu pokrzywdzić. Dla każdego zresztą był on sprawiedliwym, a od karczmy, jak od piekła, trzymał się zdaleka. Tak było rok jeden i drugi; potem się wszystko zmieniło. Potem nie jeno o wdowy on nie dbał, ani o sieroty, ale nawet i o dzieci swoje. Potem on temu sprawiedliwość wymierzał, kto mu lepiej zapłacił. Z karczmy on potem prawie nie wyłaził. Choć i do kościoła co niedzielę on chodził i słuchał słowa Bożego, ale to słowo Boże, jak groch o ścianę, odbijało

się o uszy jego. Karczma, pijatyka, niesprawiedliwe sądy duszę jego powoli całkiem ogłuszyły, że już wołania Bożego nie słyszał. Ale i głuchoty jego koniec straszliwy. Dziś on służy u tego żyda, u którego się niegdyś jako wójt zabawiał, żona zaś jego dawno ze zgryzoty w grobie spoczęła, a dzieci się rozprószyły po służbach.

I tobie jednak koniec podobny, coś głuchy na duszy, coś głuchy na wołanie Boże. Wszak słyszysz, jak i do ciebie przemawia Bóg: w karty nie grywaj, po nocach się nie włócz, wódki nie pij, boś od niej ślubował. Słyszysz przecie, jak Bóg i na ciebie woła: idźże nareszcie raz do spowiedzi, z nieprzyjacielem twoim już się raz pojednaj, wynagródź raz krzywdę, uczynioną bliźniemu. Wołanie to słyszysz wyraźnie w twojem sumieniu; czy idziesz za niem? czy porzucasz złe twoje nałogi? A pamiętaj, że Judasz się powiesił, ponieważ głuchym był na duszy, że i tylu innych dla swej głuchoty duchowej zeszło całkiem na marne.

Są jeszcze i niemi na duszy. Z czasów dawnych warto tu przytoczyć Helego. Ofni i Finees, to jego synowie, obydwaj wielkie ladaco. Skarga za skargą szła do ojca na nich, ojciec jednak za ich złe uczynki nie karcił ich wcale. Na wszystkie grzechy swych synów dusza jego całkiem zaniemiała. Surowo też za to pokarał go Bóg; jednego dnia bowiem obaj ci synowie zginęli na wojnie, a on sam, dowiedziawszy się o tem, spadł z krzesła i kark sobie złamał.

A dzisiaj czy ojców równie niemych nie znależć, czy nie znależć równie niemych i matek? — Słońce oto zeszło już wysoko. Każdy co dba jakoś o swe gospodarstwo to z sierpem, to z motyką już w polu się krząta, u ciebie tylko syn twój śpi jeszcze jak kamień. Jakże mu wstać, do roboty się zabrać, skoro nad ranem dopiero do domu powrócił. Cóż ojciec na to? Ojciec niemy całkiem na wybryki syna swojego, tem bardziej, że to jedynak. Chodzi nawet obok niego na palcach, aby go nie zbudzić, bo to jedynak. Przyjdzie jednak czas, że ten jedynak pożałuje ojcu i kawałka chleba, że go może kiedyś i za drzwi wyrzuci. Będzie to kara Boża za tę niemotę ojcowską.

Gdzieindziej niema znowu matka, choć córka jej źle się prowadzi. Widzą to sąsiedzi i po cichu sobie szeptają, że muzyka się bez niej nie obejdzie, że jeno same plotki jej w głowie, że rada jeno wystawać przed domem, wyśmiać każdego, wyszydzić. Ale i matka dobrze to widzi, nie gani jednak córuni, nie przykaże jej, aby się Boga bała, a wstydziła ludzi. Matka to niema, co płochej i rozpustnej córki nie upomni, ale jej na wszsytko pozwala. Ale kiedyś i matka ta i córka jej gorzko zapłaczą nad hańbą swoją.

Cóż mam o tych powiedzieć, co ani słowem nie odezwą się w obronie swej wiary, choć słyszą, jak tam ktoś wiarę ich srodze poniewiera. Zjawi się we wsi jakiś surdutowicz i ze wszystkiego zacznie sobie podkpiwać. Z postów, ze spowiedzi, z nabożeństw on sobie pokpiwa, a ty słychasz i nic na to nie mówisz, jakbyś nie miał języka w gębie. Czemuż to przecie? bo dusza twoja całkiem oniemiała. Toć powiedz temu mądralowi, że Pan Jezus mądrzejszy od niego, a to wszystko On nam przykazał. I pościć i spowiadać się i chodzić na nabożeństwa przykazał nam przecie Pan Jezus pod utratą zbawienia.

Inni jeszcze znajdują się niemi, to ci, co ciężkie grzechy swoje tają na spowiedzi. Jest ich podobno nie mało. Cóż to przecie zamyka im przy spowiedzi usta? wstyd przedewszystkiem, ale wstyd fałszywy. Bo jeśliś się Boga nie wstydził obrazić, który wszystko widzi, więc nie wstydź się grzech twój wyznać na spowiedzi. Sztuczka to zresztą szatańska. Kiedy cię do grzechu namawiał ten nieprzyjaciel twojego zbawienia, mówił ci: nic to, nic to — tyle zresztą ludzi robi to samo. Przy spowiedzi zaś dyabeł ten sam inaczej ci mówi. — Powiada: jakże ci grzech ten szkaradny wyznawać, co sobie spowiednik o tobie pomyśli? Teraz on ten wstyd ci przywraca, który ci przed grzechem odebrał. A kiedyś go usłuchał, grzech twój rzeczywiście zataił, jakby przywalony jakimś ciężarem, wracałeś wtedy do domu. I we dnie nie miałeś spokoju, a w nocy strach cię co chwila ogarniał. I nie masz spokoju do dzisiaj i mieć go nie będziesz, dopóki nie przemówi niema dusza twoja, dopóki się szczerze ze wszystkiego nie wyspowiadasz.

Oto głusi, oto niemi, co żyją i dziś pomiędzy nami. Cóż nam począć z nimi? Przyprowadźmy ich wszystkich do Pana Jezusa, jako przywiedziono i tamtego głuchoniemego, niech On sam rękę na nich włoży, niech ich swą łaską uzdrowi, aby słyszeli dobrze i mówili dobrze. Amen.

ŻYWOT ŚW. MAŁGORZATY

(dnia 13 lipca)

Małgorzata, panna i męczennica, była jedyną córką pewnego kapłana pogańskiego w Antyochii w dawnej Pizydyi. Po wczesnej śmierci matki dano ją piastunce na wieś na wychowanie, która potajemnie wychowywała ją w wierze chrześciańskiej. Obdarzona od Boga hojnie najpiękniejszemi darami serca i umysłu, pod troskliwą opieką pobożnej tej kobiety, która ją zawczasu zaprawiała do gorącej miłości Boga i dziewiczej skromności, rozwijała się Małgorzata jako cudny, pełen nadziemskiej piękności kwiat.

Ojciec zabrał ją do domu i cieszył się niewymownie jej pięknością i dobrocią. To go tylko dziwiło i niepokoiło, że nigdy nie chodziła do świątyni, nie brała udziału w ofiarach i że ani słówkiem nie wspominiała nigdy o bogach. Po niejakim czasie zauważył, iż Małgorzata wychodzi w nocy na tajemne zgromadzenia chrześcian. Wtedy z żalem i złością wyrzekł:

— Może ty sprzyjasz Ukrzyżowanemu?

Śmiało i łagodnie odpowiedziała Małgorzata:

— Tak jest, znam Jezusa Chrystusa i miłuję Go z całego serca.

Ojciec zaklinał ją na bogi, na godność kapłańskiego swego urzędu, by się wyrzekła „tej głupoty", lecz ona na to wszystko odpowiedziała z rozczulającą troskliwością:

— Ach, drogi ojcze, gdybyś to i ty mógł dostąpić tego nadzwyczajnego szczęścia poznania i uwielbiania prawdziwego, jedynego Boga!

Ojciec użył więc surowości: łajał, groził, a nawet srogo się z nią obchodził — lecz napróżno; Wypędził ją wreszcie z domu na wieś, by tam, ciężko pracując jako niewolnica, opamiętała się i żałowała swego uporu. Małgorzata cieszyła się z tego poniżenia dla miłości Chrystusa i była szczęśliwa i dobrej myśli w lichej odzieży, przy nędznem pożywieniu i ciężkiej pracy.

Widząc, że córka nie myśli wracać dobrowolnie, zawezwał ją ojciec do domu i znów używał to groźby, to prośby naprzemian. Małgorzata odpowiedziała z całem uszanowaniem:

— Nigdy nie wyrzeknę się Boga mego; gotowa jestem krew moją wylać za Jezusa, jako On drogą swą krew za mnie wylał!

Nie posiadając się ze złości, pobiegł ojciec co tchu do prefekta Olybriusa i oskarżył ją, że jest chrze-

ścianką. Olybrius oczarowany pięknością Małgorzaty, próbował ująć ją pochlebstwem:

— Jakże mi żal — przemówił — iż uległaś tak smutnemu obłędowi; nie bądźże tak niewdzięczną względem bogów, którzy cię tylu powabami i wdziękami ozdobili, miłość moja zapewni ci szczęście; bądź rozsądną, wysokie odznaczenie lub haniebna śmierć w twojem jest ręku!

Dziewica odpowiedziała:

— Jestem już oblubienicą Jezusa, nigdy nie porzucę nieba dla garstki prochu ziemnego!

Rozgniewany tą odmową, kazał prefekt wziąć ją na tortury, bić rózgami, ciało jej rwać żelaznemi grzebieniami na kawały, tak, iż nawet lud zaczął głośno szemrać na to okrucieństwo — a nasyciwszy się krwawym tym widokiem, kazał wreszcie świętą tę męczennicę odprowadzić do więzienia.

Wśród ciemności więziennych dziękowała Małgorzata Bogu z głębi serca za zaszczyt męczeństwa i za łaskę stałości we wierze. Wtem zbliżył się do niej duszny nieprzyjaciel; ukazał się jej kusiciel pod straszną postacią smoka ognistego, który sycząc, rzucił się na nią, jak gdyby ją chciał pożreć. Lecz chrześciańska ta bohaterka spojrzała nań z uśmiechem, uczyniła znak krzyża św. i wymawiając te słowa Psalmisty: „Po żmijach i padalcach deptać będziesz”, postawiła śmiało stopę swoją na karku tego potwora. Ten skowycząc z bólu, wił się i kurczył po ziemi — a wreszcie przepadł. Poczem cudowna jasność oświeciła więzienie; serce Małgorzaty napełniła niebiańska otucha — rany jej zagoiły się same, a ona, nucąc radosne pieśni, wielbiła przez całą noc Boga i Oblubieńca swego.

Gdy Olybrius dowiedział się nazajutrz, że męczennica żyje jeszcze, a nawet śpiewa, kazał ją stawić przed siebie. Ale jakże się zdumiał prefekt i wszyscy obecni, gdy Małgorzata w kwitnącem zdrowiu, a nawet jeszcze piękniejsza niż była, z obliczem radością jaśniejącem, ukazała się przed zgromadzeniem sędziów!

Olybrius, zapłonąwszy ku niej znów zmysłowością, zawołał:

— Zaiste, jesteś ulubienicą bogów! Uleczyli cię cudownie i chcą, byś jako córka kapłana ich nie umarła tak wcześnie; bądźże im wdzięczną za to i uznaj moc ich!

Ze szlachetnem oburzeniem odpowiedziała Małgorzata:

— Nie! nieprawdą jest to, co powiadasz; martwe twe bożki nie mają żadnej władzy, ni mocy; tylko Jezus Chrystus ma moc leczyć ciało z ran, a duszę z grzechów, oraz pokrzepiać wyznawców swych. Chwała Mu i dziękczynienie po wszystkie wieki.

Uszy Olybriusza nie mogły znieść mowy takiej, kazał przeto położyć pannę tę na płyty żelazne, rozżarzone do czerwoności i naigrawał się z niej, szydząc:

— Radujże się teraz w Chrystusie swoim, dla którego jesteś tak wierną oblubienicą; powiedz Mu, by ci dopomógł, jeżeli może, i wybawił cię z tego ognia; może też przecie będziesz temu rada, jeżeli będę na cię łaskawszym, niż twój ukochany.

Małgorzata odpowiedziała z niebiańskim spokojem:

— Tak jest, masz słuszność, szydź sobie z krótkiej tej męki mojej ogniowej; ale nie zapominaj przytem o ogniu piekielnym, płonącym wiecznie, żar ten nie dochodzi do duszy mojej, pali on tylko ciało moje i przez chwilę tylko; żar zaś piekielny palić będzie ciało i duszę twą wiecznie, bez końca.

Olybriusz, chcąc się zemścić na Małgorzacie za te surowe słowa, kazał ją wrzucić szybko do zimnej wody, by straszne te boleści spotęgowały do najwyższego stopnia.

W tejże samej chwili zadrżała ziemia, z rąk jej i nóg opadły kajdany, i jak gdyby się na nowo na świat narodziła, powstała z tej bolesnej kąpieli; na ciele jej nie było najmniejszego śladu oparzenia, a z nieba dał się słyszeć głos:

— Pójdź, oblubienico Chrystusa, przyjm tę koronę, którą ci Pan na wieki zgotował!

Wielu obecnych, porwanych tym cudem, oświadczyło odważnie, że i oni wierzą w tego potężnego i dobrego Boga, którego wyznaje bohaterska ta dziewica, i że gotowi są umrzeć za Niego, tak jak Małgorzata.

Prefekt straciwszy zupełnie głowę wobec tego zdarzenia, uciekł się do okrutnego, barbarzyńskiego środka, i kazał Małgorzatę ściąć natychmiast.

Z obliczem jaśniejącem nadziemską radością uklękła męczennica, dziękowała Bogu za wszystkie łaski, modliła się za cały Kościół katolicki, za kraj swój rodzinny, za swego sędziwego prześladowcę i skłoniła głowę, by odebrać cios śmiertelny. Działo się to w roku 275.

Ciało jej pochowali chrześcianie z największą czcią, a nad grobem jej wzniesiono piękny kościół.

WICHURA.

Mateusz Wichura miał wówczas przeszło siedemdziesiątkę, a nazwisko było tak przednio dopasowane do osoby, że już lepiej nie można! Bo to chłop wysoki, a kwadratowy, na szerokim karku osadzony „łeb”, z tych bardzo dawnych „łbów”. Wąsy siwe, jak dwie miotły, oczy niebieskie, bystre, śmiejące się, brwi krzaczaste, twarz szeroka, poczciwa, okolona krótko przystrzyżonymi baczkami, modą starych wiarusów. Zdania krótkie, jasne, stanowcze, fantazya młodzieńcza!

Zwyczajnie, wachmistrz trzeciego pułku ułanów i basta! Stary wojak, stary służbista!

Dziwnie mnie zawsze ci ludzie pociągali. Wyławiałem ich, polowałem na nich poprostu! Każde ich opowiadanie, charakterystyczne zachowanie się, mowę, ruchy wchłaniałem w siebie z rozkoszą. Bo też to byli inni ludzie! Całkiem inni! Niema ich już, niestety! Niewielu też jest, którzy ich rozumieją i od czuwają.

Dzieckiem jeszcze zaznajomiłem się i zaprzyjaźniłem z Mateuszem.

Był wówczas stangretem przy „cugowych”.

Kiedy konie napoił, kiedy obrok zasypał, siano założył, wiedziałem, że wtedy odpoczywał, kurząc lulkę i często spluwając na dystans kilku kroków.

Zawsze coś mamrotał do siebie... Z niewyraźnych i urywanych słów dochodziły do moich uszu tylko dwa: „sobacza krrrew!” Więcej nie mogłem wymiarkować.

W chwilach tej mateuszowej siesty wymykałem się ku stajniom. Stajnia Mateusza była pośrodku. Czysta, schludna i zawsze przewietrzona. Na środku stajni, u belki, przyczepiony za tylne łapki wisiał na sznurku kret, jako najpewniejszy sposób na fantazyę i dobry wygląd koni. W kącie komórka, w które przy ścianie tapczanik, pod tapczanikiem skrzynka. W skrzynce przybory toaletowe, jak: szczotki, szu

waks, wosk z sadzą do wąsów, oraz żółty rabat, ostrogi, tulejka od lancy, resztki lederwerków i... książka do nabożeństwa. W komórce była sypialnia pana wachmistrza. Ofiarowano mu izdebkę przy kancelaryi gospodarczej — nie chciał.

— Piękna kwatera — mówił — choćby i dla pana majora, ale jakbym przy sobie koni nie czuł, tobym wnet zdechł, a i koniom beze mnie byłoby markotno.

Siedzieliśmy tak raz w stajni, na tapczaniku. Ja, jak zwykle, prosiłem:

— Mój złoty wachmistrzu (lubił bardzo ten tytuł), opowiedzcie co o dawnych czasach, o jakich bitwach, proszę was.

Wielce pomocna była mi w takich razach garść tytuniu, którą, starannie zawiniętą w papier, wtykałem mu w rękę.

— Bóg zapłać! — mruczał — Bóg zapłać! Cóż ja paniczkowi powiem? I do czego to wszystko? Djabli wzieni całą muzykę i tyla! Ani słuchu, ani duchu!

Tu zwrócił się szybko do konia, spokojnie skubiącego siano z za drabinki, i wrzasnął:

— Nastąp się, kary, sobacza krrrew, bo ci tak podogonie wyzłocę, że mnie ruski miesiąc popamiętasz.

Po chwili splunął po swojemu i zaczął całkiem już spokojnie:

— Bo to trza ci wiedzieć, mój paniczku, że, jak służyłem pod Niwińskim Bernardem w trzecim pułku ułanów, to miałem siła różnych przygodów, że to akuratnie ta służba wypadła na kampanię.

Niwiński dobry był chłop, żołnierz tęgi, chocia chuderlawy, a na koniu siedział, jakby go kto smołą przylepił. Wytrzymały jucha był okrutnie. Mógł bez jaki tydzień z konia nie złazić — i nic! To też i ludziom nie przepuścił. Ciężka służba była, bo ciężka, ale Niwiński był dobry i wesoły człek. Za służbą, bywało, nieraz z nami figle płatał. Niech mu ta Pan Bóg da niebo! Służyłem w pierwszym szwadronie. Chłopy wszystko, jak lale! Szczyrych Mazurów, jako ja, moc była.

Raz pomnę, kiedyśmy w pole wyruszyli — bo trza wiedzieć, żeśmy mieli żółte rabaty na granacie, chorągiewki u lancy białe z żółtem i kaszkiety żółte. Konie — kasztany, jak ulane! Bez to nas „kanarkami" przezywali. Pierwszy pułk był — „gile", drugi „młynarze", czwarty „węglarze", a my „kanarki".

Hej! hej! Jezusie mój najsłodszy! Byliśmy, kieby te kwiatki na łące! Ciągniemy tak w paradzie, a dzień był piękny, słoneczko przyświecało. Ciągniemy stępa, czwórkami, aż tu raptownie chmura duża i czarna sformowała się czworobokiem nad naszemi głowami, potem rozwinęła się we front i od lewego skrzydła rozpełzła się po niebie.

Zdziwiło nas to, boć dzień piękny, ani jednej chmurki i na deszcz się nie miało, pewnikiem jakisi omen! Poczęliśmy o tem gwarzyć na postoju. Dopiero Bartek Capiga, z 4-go szwadronu, co szedł na prawem skrzydle, wyłożył nam wszystko, a przysięgał, że nie łże...

— Popuściłem, powiada, cugli szkapie, zasiadłem się w terlicy dobrze i tak myślę: czy też u nas, w Goźlicach, żyto się już wykłosiło, czy nie? Potem mnie nieco zamroczyło, aż słyszę, ktoś mi się nad głową zaśmiał!

Patrzę: Pan Jezus! Do połowy Go widać z chmury! Zaśmiał się radośnie i rzeknie:

— Dobrze, moje zuchy, dobrze! Ino ty, Bartek, szlusuj!

Zeszlusowałem, powiada, konia, przeżegnałem się w myśli, odmówiłem „Ojcze nasz" i już ciegiem byłem w „baczności".

Jak nam to Bartek opowiedział, wszyscyśmy wymiarkowali, że nasz pułk 3-ci jest najlepszy, skoro się samemu Panu Jezusowi tak spodobał.

Tęgie były wiarusy, ludziom i Panu Bogu miłe!

Ot i teraz, kilka lat temu, była ta nieszczęsna kampania. Juści poszedłem... bo mnie na to Pan Bóg stworzył, a jak proch poczułem, tom frybry dostał z radości!

Ale... sobacza krrrew... tfu!

Bodaj moje ślepie nie były widziały takiej wojny. Ani moderunku, ani komendy, ani subordynacyi, ani ładu, ani składu!

Juści, dobre to dzieci, co rodzonej matki bronią! Dobre, niema co! Szli niebożęta, jak barany na rzeź... bodajto!... tfu!

Znowu będę musiał wypić gorzałki z pieprzem, bo, jak sobie wspomnę, to mi cholera po kiszkach bobruje. Nasz pierwszy szwadron więcejby szkody zrobił, niż oni wszyscy razem... nieboraki?

Ha - nie sądzono, nie sądzono! Nastąp się, kary! Żebyś sparszał!...

Trza wiedzieć, że pod Olszynką było nam ciepło, oj, ciepło!

Zagnałem się za jednym kirasyerem Albrechtowym, z szablą jeno, bo lancę byłem już zgubił. Był poletek skopany, pełno dołów, kartoflisko czy ki dyabeł? ! Nie wiem! Kobyła mi się związała — i buch na pysk!

Kirasyer to zmiarkował, zwrócił konia, jak frygę, na miejscu i do mnie! Chlast mnie przez łeb po kaszkiecie! przeciął go na skos z daszkiem i podpinką, a przecięta obszlaga blaszana od daszka zorała mi tak po gębie, że krew ciurkiem kapać poczęła i oczy zalewać.

Schyliłem łeb i kalkuluję: zranił czy zabił?

Kirasyer myślał, żem już ubity. Smyrgnął w te pędy z konia i do mnie, do butów!

Nie wiem, czy mi chciał buty ściągnąć, czy z konia zwalić, dość, że mnie tak chycił za ostrogę, że z obcasem urwał.

Kiedy się tak nachylił, ja w mig jak go ćwieknę na odlew przez pysk, wyprostował się, popatrzył na mnie strasznemi oczami, krwią się zalał... i zwalił się, jak sosna.

Zabrałem konia i podprowadziłem do swoich.

Niwiński kazał go do jaszczyka zaprządz, bo akuratnie jeden koń był ubity.

— Mam honor meldować panu porucznikowi — powiadam — nie wiem, czy podole w zaprzęgu, bo nie nauczny, z pod kirasyera.

A Niwiński na to:

— A tybyś nie podołał w piechocie, jakby ci kazali?

— Podług rozkazu! — odpowiedziałem.

— A widzisz. Lewo w tył, marsz!

I szkapa chodziła w jaszczyku, jak panna. Dobry koń, kary był, jakbym go widział.

Tego kirasyera do dziś zapomnieć nie mogę.

Niejednego takiego przecie mam na sumieniu, a tego mi żal, że to nie broniący się i padł z mojej ręki. Stał mi ciegiem na oczach!

Jak byłem na odpuście w Sulisławicach, poszedłem do spowiedzi i dałem na wotywę przed cudownym obrazem... niby nie tyle za jego duszę, bo był innej wiary, ile żeby mi Matka Boska Cudowna odpuściła i z oczów mi go odkomenderowała.

— Tak... to... tak... minęło, jakby człek przespał...

Mateuszowi oczy się zamgliły... przez chwilę pogrążył się cały we wspomnieniu.

Nagle zerwał się, stanął i rzekł:

— Gadu, gadu, a tu służba! Trza poić!